OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 25 Stycznia 1865 roku.

Nr 4. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.



FIJOŁKI

PIOSENKA.

Héj! od miasteczka po błoniu,
Pędzi Jasieczek na koniu,
I ziemia pod nim ucieka;
A we wsi dziewczę go czeka.
Minął już krzyż i zapłocie;
Błyszczy w podwórku stokrocie;

Błyszczy wójtówna—śliczny kwiat,
Dla Janka teraz cały świat.

Przypędził, skoczył z konika,
Wójtówna wrota odmyka;
— Jak się masz Basiu!—jak się masz?
Kiedyż to będzie ten ślub nasz?

— Jeszcze do ślubu daleko,
Jak precz do gór tych za rzeką,
I jak do morza od rzeki,
Tak jeszcze ślub nasz daleki!

— O! ciężkaż dola i smutna,
Czegóż mnie dręczysz, okrutna?
W serce me rzucasz kamieniem,
A jam przyjechał z pierścieniem!

— Co mi tam żale i smutki!
Idę pleść wianek świeżutki,
Uplotę z kwiatków przy wodzie,
Co rosną w matki ogrodzie.

Dajże mi radę, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Rosną tam róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;

Rośnie tulipan wspaniały,
Goździk czerwony i biały,
I jeszcze ciche, świeżutkie,
Żyją tam fijołki drobniutkie [1]).

Powiedzże teraz, Jasiu mój,
Z czego najlepszy będzie strój?
Bo ja na święto majowe,
Chcę cudnych wianków na głowę.

— Piękne są róże czerwone,
Kielichy maku zwieszone;
Ładny tulipan wspaniały,
Goździk czerwony i biały.

Lecz dla mnie fijołek na świecie,
Najponętniejsze to kwiecie:
Z przecudną wonią się kryje,
I z trawą wespół rad żyje.

A jak niebiosa modre są,
Taką sukienkę ma on swą;
Splećże—spleć wianek fijołkowy,
Na ten poranek majowy.

— Tegom czekała, Jasiu mój!
Gdy kochasz skromny fijołka strój,
Gdy kochasz kwiatek ubogi,
Dajże mi pierścień, mój drogi!

MIKOŁAJ KOPERNIK.

Któż z was czytelnicy, z tych, którzy mieszkają w Warszawie, nie zna owéj spokojnéj, brązowéj postaci, siedzącéj na niezbyt wysokim kamiennym postumencie i trzymającéj w ręku wyobrażenie świata? Któż, wychodząc z kościoła Ś-go Krzyża, nie spojrzy choć pomimowoli, na ten znajomy sobie pomnik Kopernika z uczuciem przyjaznem, jakby mówiąc: jak on spokojny a wspaniały! Wszędzie, gdziekolwiek rzucicie okiem, nasuwa się ten wielki ziomek; bo czy na rycinach, czy na godłach sklepowych, nawet na drzwiczkach żelaznych od pieców, spotykacie go w téj saméj postawie, z tym samym światem w ręku. Kopernik stał się u nas jakoby obywatelem po śmierci; wszędzie żyje, często jest na ustach ludu warszawskiego, a jeszcze częściéj w książkach. Woziwody, którzy jak wiadomo, licznie zawsze gromadzą się ze swemi wozami około tego pomnika, wprowadzają go do swych rozmów: „oho! cicho, bo się Kopernik rozśmieje!” albo „obetnijże włosy, bo wyglądasz jak Kopernik;” „stary jak Kopernik,” (choć pomnik ten nie tak dawno tu stoi) i t. p. Jeśli zechcecie przeczytać napis na pomniku, dowiecie się, że postawili go „wdzięczni rodacy.” Cóż więc tak sławnego uczynił Kopernik; że tyle głośnem jest jego imię? „Coś on tam prawił o niebie, czy coś tam w niebie poprawił,” odpowiada zwykle przechodzien nieciekawy, sądząc, że nic już człowiek o niebie powiedzieć nie potrafi, bo ono jest wysoko.

Nie trzeba dodawać, że mówimy tu o tych tylko, którzy nie wiedzą, co właściwie uczynił Kopernik; a czyż na nieszczęście mało jest dzisiaj nieświadomych?

Siedząc sobie w Warszawie i znając Kopernika tylko z jego posągu, nie podobna przecież, abyście nie słyszeli przynajmniéj, jakie spory toczyły się niedawno o jego pochodzenie i narodowość. Naturalnie, że nikt z nas nie wątpi, iż Kopernik był Polakiem, ale nie tak myśleli Niemcy. Mają oni wielki pochop do budowania zbiorowych pomników; tu i owdzie po Niemczech natrafiasz na ogromne świątynie, wystawione na cześć bohaterów, uczonych, wojen i t. p. Wszystko to jest piękne, bo czcić swoich przodków zasłużonych krajowi należy; ale Niemcy pozazdrościli nam Kopernika, i gwałtem chcieli go przerobić na Niemca. Ciągnęło się to już od lat kilkudziesięciu, ale u nas z początku nie wiele zwracano uwagi na takie roszczenia; uważano je bowiem za nazbyt napastnicze i dziwne, aby czuć się zmuszonym do tłumaczenia. Dwa jednakże wypadki zaszłe przed niedawnemi laty, dały powód do ostatecznego sporu i walki, która skończyła się zupełnym tryumfem naszéj strony. Wypadki te były następne: Przed dwudziestu laty, postawiono w Bawarji taki pomnik zbiorowy, o jakich mówiliśmy, gdyż umieszczono tam wszystkie znakomitości niemieckie, od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Jeżeliście przechodzili przed laty kilku przez Senatorską ulicę, spostrzegaliście bezwątpienia z lewéj strony, przed kościołem KK. Reformatów znak nad jakąś tak zwaną bawarją, gdzie, pośród olbrzymich kufłów i napisów, tkwił wymalowany gmach „Walhal-

[1]) Fijołki, barwy ciemno-modréj, z listkami, jak widzimy w obrazku; ze wszystkich znanych nam kwiatów mają najprzyjemniejszy zapach; nawet zwiędnięte nie pozbywają swéj woni, lecz owszem, przez czas ją wzmacniają. Kwitną tylko przez wiosnę i ukrywają się w trawie, nie potrzebując przesadzania. Są także i dzikie fijołki, rosnące po polach i łąkach; mniéj pachną one i kwiat ich nieco jaśniejszy, lecz przesadzone mogą się uszlachetnić i nabyć mocnego zapachu. Że fijołek rośnie ukryty w trawie i trzeba bacznie szukać, aby go wynaleźć, więc też nazwany jest *kwiatem skromności* dziewiczéj i zarazem jest *jéj godłem.* Ukrywa on swój przymiot cudnego zapachu przed ciekawem okiem, tak jak prawdziwie skromna dziewica, tylko za bliższem poznaniem jéj i za zwróceniem bacznéj na nią uwagi, przymioty swego serca i duszy odkrywa—przyjaznemu oku. Kto szczerze szuka, ten i fijołek drobniutki i skromną dziewicę odkryje śród świata.

Tem też godłem skromności przedstawione są fijołki na obrazku; widać tam trzy dziewice spowite fijołkami, niby trzy cnoty największe: wiara, nadzieja i miłość. Oplecione liśćmi i kwiatem skromnych fijołków, klęczą ukryte przed ciekawem okiem; w ręku trzymają urny, z których woń fijołków, niby cnoty z serc skromnych, płynie ku niebu.

la," ten właśnie, który wybudowano w Bawarji; przedsiębierca przeto sądził, że Walhalla ta najlepszym będzie godłem bawarskiego piwa. Gdy więc otwarto z wielkiemi uroczystościami i paradą, ową prawdziwą Walhallę, ujrzeli tam Polacy ku zdumieniu swemu, że nasz Kopernik, który od lat wielu już przedtem wystawiony miał od rodaków pomnik w Warszawie, znalazł się nagle między owemi znakomitościami niemieckiemi! Tu rozpoczęła się walka, głośna po Europie i całym świecie uczonym. Zaczęto więc wydobywać na jaw z mroku wieków najrozliczniejsze pamiątki i dowody życia Kopernika, zaczęto roztrząsać po literze jego nazwisko, przypominać sobie jaki dom zajmował, gdzie się rodził, gdzie się uczył, jak się podpisywał, kogo kochał i z kim przestawał, czem się zajmował w życiu codziennem. Wyszło na jaw tysiące drobnostek ważnych i wiele dowodów niezbitych, z których przekonano się ostatecznie i niemylnie, że Kopernik był Polakiem, co prócz tego obnażyło jeszcze dziwne środki, jakiemi starała się strona przeciwna świat przekonać, że był Niemcem. I tak, nazwano jego ojca nie Kopernikiem, a jakimś Zeppernikiem czy też Czepernikim, gdyż dźwięk takiego wymawiania przypominać ma niemczyznę; daléj wynajdywano niby rozmaite dokumenta, tabliczki lub listy, które dowodzić miały jego pochodzenia niemieckiego. Uczeni ziomkowie nasi przekonali już świat o bezzasadności tego wszystkiego licznemi wprost przeciwnemi dokumentami i okolicznościami życia tego uczonego; ograniczemy się więc na kilku tylko szczegółach, dostatecznych do zupełnego wyjaśnienia téj sprawy, co posłuży zarazem za wspomnienie o jego życiu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PODRÓŻ w TATRY.

(Ciąg dalszy.—Patrz Nr. 3).

II.

W TATRZAŃSKIÉJ CHACIE.

Górskie chaty wszystkie niby bliźnięta podobne do siebie; czasami u bogatszego gazdy ozdobniejsza facjatka i rzeźba na bokach domu, ale w urządzeniu reszty nie ma różnicy. Sień na przestrzał idąc, dzieli dom na dwie nierówne połowy: w mniejszéj świetlica o dwóch oknach, w większéj izba czeladnia z dużym piekarskim piecem. Za piekarnią chlewek, za świetlicą komora. Obok domu szopa na siano i zboże. Drzwi do chaty bywają małe z wysokim progiem; pokrycie dachów gontowe w braku słomy. Górskie chaty, ponieważ nie są bielone, ani z wierzchu, ani ze spodu, trochę smutno i ponuro wyglądają.

Wszedłem do świetlicy i tam się rozgospodarowawszy, położyłem się na łóżko umęczony nieco podróżą i początem rozglądać się po izbie. Izba była niebielona, wykładana gładkiemi deskami, co ją czyniło podobną do wnętrza skrzynki; naokoło izby przy ścianie stały ławy, równolegle od nich w górze ciągnął się szeroki gzyms na zielono pomalowany, na którym stały rzędem świecące misy i kolorowe talerze. Pod gzymsem wisiały obrazy religijne; tak przynajmniéj domyślać się trzeba było, bo nad kolorami zielonemi i czerwonemi mającemi wyobrażać suknie, płaszcze, twarz; były żółte kółka niezaprzeczony dowód świętości tych karykatur. Dziwić się należy, że dotąd pozwalają sprzedawać na odpustach bohomazy, któremi się i religji uwłacza i smak estetyczny ludu do reszty psuje. Bo i cóż dziwnego, że włościanin, nawykły od dzieciństwa patrzeć na Adama i Ewę o nieforemnych cielskach, na skrzywione członki Ukrzyżowanego Chrystusa i modląc się co dzień przed niemi, tępi sobie do reszty uczucie piękna, podczas, gdy to uczucie w nim budzić i rozwijać powinniśmy, bo przez nie wykształca się lud moralnie i traci surowość, szorstkość, gdy przeciwnie uwielbianie bohomazów prowadzi do bałwochwalstwa. Należałoby na to wpływać, aby zamiast tylu monstrualnych, jarmarcznych utworów w chacie, był jeden lub dwa wizerunki Chrystusa lub Matki Boskiéj, przynajmniéj znośnie namalowane.

— No i jakżeż wam tu panie?—spytała Tereska wchodząc—może wam czego potrzeba?

— Nie, moja kochana, tylko, żebyś mogła te obrazy wszystkie wynieść gdzieindziéj....

— Dziewczyna otworzyła z zadziwienia wielkie niebieskie oczy i rzekła.

— A to będzie szpetnie wyglądać bez obrazków, a choćby i wynieść, to niema gdzie, bo w naszéj izbie ciemno i dymno, to szkoda takie malunki na zniszczenie wystawiać—a co wam tu wadzą... może wy...

— I zawahała się nie śmiejąc dokończyć i patrząc na mnie z pod czoła.

— Luter? nie, Teresko ja katolik, ale...

Tu znowu ja się zawahałem, bo jakże tu powiedzieć górskiej dziewczynie, że święte obrazki brzydkie, zgodziłem się więc by zostawiono tę całą galerję, a prosiłem tylko, by pościel wiszącą nad łóżkiem na żerdzi wyniosła, co także z niemałem zadziwieniem uczyniła. Obrazy bowiem, naczynia gliniane i pościel, to oznaka zamożności i zbytku, a im gazda bogatszy, tem więcéj mis i talerzy na półkach, tem więcéj obrazów na ścianach i pościeli na żerdzi, bez względu, czy tyle potrzeba. Zamiłowanie porządku i czystości cechuje lud górski; ich malowane skrzynie pełne czystéj bielizny i przyodziewy, gdyż nie tylko w niedzielę stroją się dziewczęta. Lud górski trochę próżny i chełpliwy rad się stroi, rad wdziewa na siebie różne ozdoby; chłopiec ostatniego reńskiego daje, by na kapeluszu zawiesić sznurek muszelek, pas nabija świecidełkami mosiężnemi, a dziewczyny przepadają za pierścionkami i wstążkami z dziecinnym zapałem.

Siedziałem tak długo rozmyślając; ze zmierzchem napadła mnie dziwna tęsknota za Krakowem; rzadko wyjeżdżam z mego miejskiego kątka, to też każde oddalenie się od niego opłacać muszę chwilową tęsknotą i źle mi bez mojéj Wisły, bez starego zamku, bez trzech mogił i bez kilku twarzy, które tam zostawiłem. Wśród téj zadumy, doleciał mnie z drugiéj izby głos skrzypców. Dziwna muzyka, rzewna, namiętna choć jednostajna, wyraźnie tak, jakbyś jakąś skargę krótką, urwaną, niedokończoną rzucił na wiatr i echo ci ją ciągle powtarza. Taką była muzyka górala; długo słuchałem jéj z zadowoleniem, a usłyszawszy, że w przeciwległéj izbie zrobiło się dość gwarno, i obok muzyki, jakieś jakby taneczne szamotanie się, oraz skoki słyszałem, poszedłem tam, aby się przypatrzyć.

W izbie zczerniałéj od dymu palił się na wielkim kominie ogień, przy którym warzono wieczerzę; dym gryzący oczy, do połowy wisiał w izbie. Przy ogniu siedziała stara matka mięszając od czasu do czasu krupy, to znowu oglądała różaniec i nacieszyć się nim nie mogła. Jędrek siedział na ławie, głowę położył na skrzypcach, oczy przymknął, a nogami przebierał i grał zapamiętale; przed nim stał młody

góral, podparł sobie boki i dreptał i przebierał w takt nogami, a obok niego w kółko wirem kręciła się Tereska. Czasem góral klasnął w ręce, wtedy dziewczyna wpadała mu w ramiona; zakręcili się w koło, jak wiatr, gdy tumanem liści i prochu wiruje, i znowu puścili się i on w miejscu przebierał nogami, a ona około niego się obracała. Zdziwił mnie z początku ten taniec, jeszcze bardziéj mnie zdziwił, gdym na drugą niedzielę w karczmie zobaczył, że i w większych zebraniach górale pojedynczo występują do tańca. Zdawało mi się, że to więcéj popis jak uciecha; pytałem się „czy innych nie mają tańców.” Znali Lacha (t. j. rodzaj krakowiaka, ale go nie radzi tańczyli wracając zawsze do swego dreptaka). Taniec ich równie jak ich smętna, a jednostajna muzyka, mają wiele podobieństwa z ich charakterem i z sposobem życia. Góral wśród skał zakrzyknął sobie kilka słów na uciechę lub smutek, wiatr rwał słowa, i niósł między skały, a skały powtarzały jedna drugiéj te słowa, więc on w muzyce naśladował to powtarzanie. Przy muzyce góralowi same nogi skaczą; choć nieraz nalata się po górach za owcami, niechno posłyszy skrzypki lub kobzę, wnet nogi drgają mu do tańca, wstrząśnie głową, kędziory wtył zarzuci, podeprze boki i hula. Ale w szałasie skąpo miejsca do hulania, więc ograniczył się na małéj przestrzeni i na niéj drepcze i skacze.

Góral chwycił Tereskę, zakręcił się z nią raz jeszcze, pocałował i wyleciał z chaty. Ona zmęczona, zaczerwieniona, siadła na ławie przy matce; blask płomienia oświecił jéj twarz ładną i zobaczyłem w oczach łzy. Zdziwiło mnie też, zkąd po tańcu i pocałunku, łzy na twarzy dziewczyny i spytałem.



Mikołaj Kopernik.— (Podług rysunku Władysława Oleszczyńskiego—wycięto w drzeworytni Webera w Lipsku).

— Co tobie Teresko?

Zamiast odpowiedzieć, rozszlochała się głośno i zakryła twarz zapaską.

— Dajcie jéj pokój; mówiła matka, ot niebogа ma żal do ludzi i płacze. Bo widzicie mieli się z Antkiem ku sobie, ale rodzina jego źle na to patrzy i rai mu Marynę Gewontkę, i żenić się z nią będzie.

— A czemuż tu przychodzi?

— Ba, bo mu trudno zapomnić od razu o Teresie.

— I kiedyż wesele? spytałem zdziwiony tą powieścią romansową, któréj nie spodziewałem się znaleźć w prostym ludzie.

— Za dwie niedziele; odrzekł ponuro Jędrek, strojąc skrzypce i pobrzękując po stronach, będę im grać na weselu.

— Jakto ty?

— A ja—a któż inny? kiedy Sobka w rekruty wzięli....

— Ależ Tereska, czy pozwoli ci?

— A któżby jéj zagrał do tańca?

— Alboż pójdzie na wesele?

— Ba, czemużby nie, czy to nie jéj znajomy Antek?

Zdziwiłem się tą logiką. Jakaż dziwna gmatwanina uczucia?—jakież ciekawe pojęcia o miłości? Odepchnięta kochanka, idzie drużbować swemu kochankowi, idzie patrzeć na szczęście swojéj rywalki i jakże to nazwać, siłą ducha — czy obojętnością? Myślę, że raczéj możnaby to nazwać zwycięztwem zwyczaju nad namiętnością, nad skłonnością serca. Sakrament staje się grobem przedślubnych uczuć. Pogawędziwszy ze starą, wróciłem do mojéj izdebki—na dworze było ciemno, chmury warczały grzmotami, od czasu do czasu błyskawice rzucały lśniące blaski na ciemność i po kilka sekund drgały, burza stawała się coraz zawziętszą, silniejszą; wiatr szamotał pobliskim lasem, wył wpadłszy między chaty. Dunajec szumiał, pienił się i rzucał, a deszcz lał strumieniem. Stałem długi czas woknie, przypatrując się téj Tatrzańskiéj burzy. —Jakże ona inną od naszéj; u nas burza, to groźny pomruk natury, a tu najnamiętniejszy wyraz jéj serca. Tu ona szaleje, wścieka się, rzuca. Błyskawice co chwila rozświecały ciemności, pioruny od czasu do czasu, biły o skały, wiatr dął z podwójną siłą i gęstym deszczem siekł okna mojéj izdebki. Późno w noc burza ustała i ja się spać położyłem. *(Dalszy ciąg nastąpi).*



Zakręcili się w około jak wiatr,—(str. 28, szp. [1]).
(Rysował Gerson — wyciął na drzewie Szymborski).

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

UCIESZNA PRZYGODA PANA PROTAZEGO WYPORKA, SŁAWETNEGO MAJSTRA KRAWIECKIEGO.

Na Kazimierzu w Krakowie, w szynku „pod Twardowskim” trzęsły się szyby jak w febrze, tak hałaśliwie rozprawiało kilku majstrów krawieckich przy szklenicach miodku. Mówią to wprawdzie o pijaku, że pije „jak szewc w poniedziałek,” lecz tym razem i panowie krawcy wstydu gorzałce i miodkowi nie robili. I owszem, nie tylko pili, lecz jak gdyby ze złości na fabrykantów obuwia za ich dobrą sławę picia, psy na wszystkich szewcach wieszali.

Z każdą świeżą szklanką, wzmagał się gwar piekielny, i wraz z odorem spirytusowych napojów, buchał przez drzwi uchylone na brudną ulicę.

— Co szewc, to skurczybyk, urwipołeć, zawadyja! wołał jeden.

— Każdy szewiec ma pysk jak cholewę—wrzeszczał drugi; trzeci zaś jął deklamować coś obelżywego na szewców, lecz nie skończył, bo mu się język plątał, a głowa sennie na piersi opadała.

A byli to sami tacy rzemieślnicy, którzyby w poniedziałek, choćby się ziemia zapadała, do roboty nie zasiedli; więc też i dzisiaj, na *blaumontag*, postanowili się strąbić jak bele.

Najtrzeźwiejszym ze wszystkich był jeszcze pan Protazy Wyporek; on też jeden miał siłę najwięcéj ze wszystkich krzyczeć i wymyślać na szewców.

— Szewcy, tedy tego ma tego, wołał pan Protazy; są wrzodem i zakałą całego poczciwego stanu rzemieślników! Szewcy, to tyrani i udręczyciele rodu niewieściego, bo każdy z nich, tedy tego ma tego, żonę pociągłem bije! Szewcy są niepotrzebnemi, na zgubę rodu ludzkiego, wymyślonemi partaczami, bo i mybyśmy buty szyć potrafili—a więc tedy tego ma tego, wszystkich szewców na jednéj gałęzi wywieszaćby należało!

Hucznym wrzaskiem przyjęli zgromadzeni kraw-



Szewcy tedy tego ma tego, wołał pan Protazy.—(str. 29, szp. 2).
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie Stifi).

cowie tę krwiożerczą wycieczkę na szewców; dwiema szklankami trzaśnięto o mur na wiwat, inne wypito duszkiem, a pan Protazy, mimo fatalnego przysłowia: *tedy tego ma tego*, tak się czuł uszczęśliwiony swym oratorskim sukcesem, że całemu zgromadzeniu świeżego zafundował miodu. Lecz niestety! jak to zwykle bywa, wyłonił się w tejże chwili osobisty interes z serca pana Protazego, interes, do którego, kto wie czy i zawziętość szanownéj jego połowicy małżeńskiéj się nie przyczyniła. Oto przed rozognioną fantazją stanął panu Protazemu najsroższy jego nieprzyjaciel, majster szewcki, imieniem Gerwazy Przyszczypek, a do głowy buchnął płomień niepowściągnionego gniewu, i zażądał zemsty na niegodziwego szewca.

Zaczerwieniony jak burak skoczył pan Protazy i wrzasnął:

— Bracia i towarzysze tedy tego ma tego krawieckiego kunsztu! Same słowa nie uwolnią nas od plagi szewców; trzeba raźnego czynu, trzeba mężnego rozpoczęcia wojny z tem jaszczurczem plemieniem, tedy tego ma tego!

— To się rozumie! Trzeba natychmiast! Chodźmy! chodźmy!—przerwało mówcy wrzaskliwe zgromadzenie.

— Zaraz bracia—wołał daléj Protazy—pójdziemy tedy tego ma tego, lecz mądrze i przezornie. Słuchajcie. Wszak znacie Gerwazego Przyszczypka, owego potwora szewców? Otóż jemu, tedy tego ma tego, nabijmy dziś kopę guzów, a nieśmiertelna okryje nas chwała.

— Wiwat Wyporek! Chodźmy! — wrzasnęli krawcy.

Tym razem taki się wszczął zgiełk i zamięszanie, iż pan Protazy przyszedł dopiero do głosu, za pomocą tak silnego uderzenia pięścią w stół, że aż wszystkie szklanki zabrzęczały.

— Jeszcze chwilkę!—krzyknął ochrypłym głosem.—Ja sam tedy tego ma tego pójdę naprzód, a wy dopiero za dobrą chwilkę po mnie; ja lisa najprzód z nory wykurzę, a wy potem, tedy tego ma tego z kijami na niego wpadniecie!

Ledwie ugasić zdołał pan Protazy wojenną werwę swych towarzyszy, którzy natychmiast w pochód ruszyć pragnęli. Po długiéj sprzeczce nareszcie i po wypiciu kieliszka gorzałki, plan jego został jednogłośnie przyjęty. Pan Protazy wsadził czapę na bakier i wyszedł na ulicę.

W zaduchu szynkowni było jeszcze jako tako, lecz gdy pana Wyporka świeże ogarnęło powietrze, uczuł zamęt w głowie, a nogi jęły mu się plątać. Wszelkie wysilenia, aby iść prosto i groźnie, spełzły na niczem; pan Protazy zamiatał zygzakiem błoto z całego Kazimierza, księżyc mu się wydrzeźniał, a kamienice tańczyły na około niego. Trzeba zaś wiedzieć, iż pan Wyporek mieszkał aż na Podgórzu, w białym domku ponad samą Wisłą, i nie małą przeto przestrzeń miał do przebycia. Jakoż uprzyjemniał sobie podróż ciągłemi monologami.

— Sto kaduków, tedy tego ma tego, ty baranie futro!—mruczał pan Protazy, zaciskając pięście.—Hu ha! Weźcie go! Tobie buty naprawiać nie kapoty... tedy tego ma tego! Ty kosmata czapo... barania...

Chcąc zrozumieć ten monolog, trzeba wiedzieć, że pan Wyporek dla tego miał największą złość do pana Gerwazego Przyszczypka, iż tenże nie tylko buty szył, lecz umiał także bardzo dobrze sobie i znajomym kapoty i kamizelki sporządzać. Oprócz tego, miał pan Przyszczypek tę dziwną modę, że jak tylko po Świętym Mateuszu, tak już chodził w baranim kożuchu na wywrot i w wysokiéj czapce baraniéj, a obecnie także w takim stroju stał przed wyobraźnią pana Protazego.

Mrucząc zawiłe monologi, minął pan Protazy jako tako most na Wiśle; lecz gdy przyszło spuścić się na prawo, wązką ścieżką i samym brzegiem Wisły, tuż koło budki strażnika mostowego, uczuł dopiero, że mu nogi djabelnie nie statkują. Pomimo to, utrzymywał nasz majster cudowną równowagę; lecz nagle uczuł, iż go ktoś tak silnie w bok uderzył, iż mu aż czapka z głowy spadła. Tym „ktosiem" był sobie śpiewający, wędrowny czeladnik z felajzem na plecach; lecz pan Protazy ujrzał przed rozmarzoną fantazją, ni mniéj ni więcéj tylko kudłatego Przyszczypka, i rzucił się na swą ofiarę z wściekłością zaciętego przeciwnika.

— Poczekaj ty.. ty... ty obwiesiu, niedołęgo jedna! wrzeszczał pan Protazy, podnosząc pięście.

Biedny czeladnik, któremu się ani śniło zaczepiać przechodnia, i który musiał tylko wytrzymać jedno z kolosalnych zatoczeń pana Protazego, odgadł tymczasem, iż ma z pijanicą do czynienia, i uszedł czemprędzéj w swą stronę. Téj ucieczki nie zmiarkował jednakże od razu pan Protazy Wyporek; owszem, krzyczał i bił jeszcze chwilę pięściami po powietrzu. Uczuwszy nareszcie, iż mu zimno w łysinę, schylił się po czapkę; lecz tejże chwili tak fatalnie gorzałka nim zatoczyła, iż wpadł jak kluska do Wisły.

Na taki plusk przybiegło kilku ludzi, stojących koło budki strażnika, lecz nikomu nie chciało się ratować pijanicę, którego coraz bardziéj woda zalewała. I kto wie coby się było stało z panem Protazym Wyporkiem, gdyż mu już tylko łysinę nad wodą widać było, gdy naraz rzucił się ktoś do wody i wyciągnął go na brzeg. Tym „ktosiem" był znowu ten sam wędrujący czeladnik, który mimo kułaka i napaści, na odgłos pluśnięcia się wrócił, i napastnika swego od pewnéj uratował śmierci.

Zimna woda wytrzeźwiła pana Protazego; a gdy przyszedł zupełnie do siebie i podniósł się z ziemi, nie było już wybawcy koło niego. Jak przyszedł tak i zniknął, niewiedzieć kto i zkąd, a jako jedyny ślad po nim, został tylko jakiś biały papier na ziemi, przy odejściu widać zgubiony.

Obojętnych, śmiejących się świadków całego tego wypadku, zawstydził cokolwiek czyn nieznajomego czeladnika; jakoż pomogli panu Protazemu pozbierać manatki i otrząść się z wody, a kapotę podbitą barankami, wdzieli mu na wywrót, aby prędzéj ociekła. Oprócz tego włożyli mu do kieszeni ów papier zgubiony, myśląc, że to jego własność, i sprowadzili na gościniec ze stroméj i oślizłéj ścieżki.

Ujrzawszy się sam na gościńcu, skulił się pan Protazy, i zdążał ku domowi. Myśl zemsty, zasadzka kolegów z „pod Twardowskiego," obraz pana Gerwazego Przyszczypka; wszystko to znikło z przed oczu i z myśli pana Wyporka; dziękując Bogu za ocalenie, pragnął on tylko stanąć czemprędzéj w domu około ciepłego komina. Lecz Pan Bóg, ocaliwszy Protazego, chciał go snać ukarać zarazem za zbyteczną zuchwałość i mściwość. Spieszący bowiem nasz majster, usłyszał nagle wrzask za sobą, a zaczem się zdołał obejrzeć, leżał już na ziemi pod gradem kułaków i kijów.

Pan Protazy myślał zrazu, że cały księżyc spadł

na niego, lub ziemia się pod nim rozstąpiła, i polecał już duszę swą Bogu, jak w ostatniéj życia godzinie; lecz po małéj chwilce, zmiarkowawszy, że to kilku ludzi, pośród przekleństw kijami go okłada, podniósł głowę z ziemi i z całéj siły zawołał:

— Gwałtu, tedy tego ma tego!

Przysłowie pana Protazego nie było nigdy imponujące; lecz w téj ostatecznéj chwili podziałało jak różczka czarnoksiężka. Wszystkie razy jednéj chwili ustały, oprawcy obrócili do góry twarzą sławetnego pana Wyporka, i z wszystkich ust podniósł się jeden okrzyk zdziwienia:

— Taż to pan Protazy Wyporek! Nasz dowódzca!

— A czemużeś się ubrał kożuchem na wywrot?— zawołał jeden.

— Cóż tobie, żeś taki mokry?!—wołał drugi.

I po przeminięciu pierwszego zdziwienia, zaśmiali się wszyscy głośnem chórem. A pan Protazy wytrzeszczył oczy, poznał swych towarzyszów z „pod Twardowskiego,” i aż po uszy oblał go rumieniec gniewu i wstydu.

Przeziębnięty i pobity, z sińcami i guzami po całem ciele, leżał pan Protazy na drugi dzień w łóżku. Od czasu do czasu wydobywały się z jego piersi westchnienia i jęki; nie chciał nic jeść i mówić. Żona jego, susząc kożuch, wydobyła zeń jakiś papier i oddała go mężowi. Była to wędrowna książeczka, wydana na imię Ignacego Dratewki, czeladnika szewckiego. Więc szewczyk, jeden z tych znienawidzonych potworów rzemieślniczych, w zamian za kułaka, uratował życie panu Protazemu, a właśni jego towarzysze, przez dziwną pomyłkę, gorącą sprawili mu łaźnię!!

Skoro pan Protazy nad tem pomyślał, to zasępił się najprzód, a potem łzy mu w oczach stanęły: patrzył i mrużył powieki, aż nareszcie wlepił oczy w sufit i zdawało mu się, że tam jakaś nieznajoma ręka następne kreśli słowa:

— Wszyscy ludzie są równi przed Bogiem, a praca, choćby najbrzydsza, człowieka nie poniża, lecz owszem, przynosi mu zaszczyt. Poczciwy stan rzemieślniczy, jest jednym z pierwszych stanów; lecz kto unika pracy, pije, wadzi się i nastaje na dobro bliźniego, ten przestał być prawdziwym rzemieślnikiem. Każde rzemiosło jest zacne; każdy rzemieślnik, czy to on buty szyje, czy kapoty, czy to on złoto obrabia, czy żelazo — jest godnym szacunku obywatelem, jeżeli tylko sumiennie powołaniu swemu odpowiada. Jeśli ty pogardzać będziesz twym bliźnim i współpracownikiem, to i tobie rzuci świat w oczy pogardę; jeśli będziesz pił i omijał pracę, to ciebie szczęście także ominie, a odda cię nędzy; jeśli nie będziesz oddawał dobrem za złe, lecz będziesz myślał jak krzywdzić bliźniego, to sprawdzi się zawsze na tobie przysłowie:

„Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.”

Cały ten wypadek, wywarł niezwykłe wrażenie na panu Protazym Wyporku; był on długi czas niepocieszony i smutny. A skoro przyszedł do sił i do zdrowia, stał się szacunku godnym rzemieślnikiem i żył odtąd w dobréj zgodzie, nie tylko z panem Gerwazym Przyszczypkiem, lecz ze wszystkiemi szewcami.

Mała Sieczkarnia.

Kto na małem swem gospodarstwie utrzymuje stosunkowo znaczniejszą liczbę inwentarza — kto w mieście ma krowy lub trzyma konie, temu koniecznie potrzebna jest sieczkarnia, do rznięcia słomy na sieczkę. Dawniéj po wsiach, obywano się tak zwanemi ladami z ręcznym rzezakiem; pomijając, że ladą taką mało co zrobić można, a teraz tak okropnie droga robota, iż czas trzy razy więcéj wart jest jak skutek roboty na ladzie odbywanéj — lady takie są niebezpiecznemi i z tego względu jeszcze, że nieraz robią ludzi kalekami. Sami byliśmy świadkami wypadku, że dziarski parobek, przez nieostrożność uciął sobie 4 palce u ręki rzezakiem. Dziś więc, przy zmianie koniecznéj systemu gospodarowania u posiadaczy małych własności, chów inwentarzy podnieść się musi, a z nim i potrzeba przygotowywania tak ważnego pokarmu jakim jest sieczka. Lady więc stare, niedogodne, zastąpione być muszą sieczkarniami ręcznemi łatwéj konstrukcji, do jakich właśnie podana na drugostronnym rysunku, a rozpowszechniona w W. ks. Poznańskiem pomiędzy włościanami, należy. Opiszemy ją bliżéj. Dwa noże stalowe, ostrzem na zewnątrz wypukłe, umocowane są śrubami na przeciwległych promieniach koła zamachowego, za którego obrotem, ucinają sieczkę przy otworze stalnicy czyli dawniejszéj lady; położenie tedy noży, kierunek ich zamachu, daje bardzo łatwe cięcie, tak iż jeden człowiek obok nakładania, tem narzędziem w ciągu godziny około 5 korcy *drobnéj* sieczki urznąć może. Szerokość otworu stalnicy wynosi $7\frac{1}{2}$ cala, wysokość $2\frac{1}{8}$ cala. Ruch walców ciągnących i poddających słomę, wychodzi z bocznych ślimakowatych trybów, które tylko na jeden gatunek drobnéj sieczki są urządzone. Walce w podłuż są karbowane, bo w lekkiéj téj sieczkarni, praktyka za takiemi przemawia. Waży ta sieczkarnia 220 funtów, a w Warszawie kosztuje 200 złp. Nielękajcie się téj ceny, bo ona w niespełna pół roku, zaoszczędzeniem pracy, wam się wynagrodzi; a już mówić nawet o tem nie potrzeba, ile przez to zyskają wasze inwentarze, otrzymując zawsze na czasie i to drobno rzniętą sieczkę.

ROZMAITOŚCI.

— Zaledwośmy zwiastowali o zamiarze otwarcia kassy pożyczkowéj Ś-go Marcina, a już dzięki działalności ludzi dobréj woli, możemy donieść o otwarciu téj pożytecznéj instytucji przy ochronie drugiéj, która jak wiadomo mieści się przy ulicy Ogrodowéj, gdzie zapewne nie jeden z naszych czytelników mieszka. Rzemieślnicy bowiem i robotnicy, chętnie się w tamtejszych stronach kupią obok fabryk i zakładów przemysłowych. Po dopełnieniu poświęcenia przez Jks. Biskupa Rzewuskiego w obec prezesa administracji Towarzystwa Preisa, jak i Rady Opiekuńczéj Cyrkułu VII-go, natychmiast przystąpiono do rozpoczęcia czynności i udzielono trzem osobom pożyczkę. Główniejszym warunkiem pożyczki jest: poręczenie osoby wiarogodnéj, a pożyczka może być udzieloną tegoż samego dnia, w którym jest żądaną od złp. 20 do 80. Zwrot zaś zastrzeżony jest miesięczny, kwartalny lub pół-roczny, a nawet roczny.

— Donosząc o nowo-otworzonéj kassie, wspomnieć możemy o innéj cieszącéj się już pełnym rozwojem. Chcemy tu mówić o zasiłkowéj kassie Ś-go Wincentego à Paulo, założonéj przez W. Bronisława Skarżyńskiego. W końcu roku 1863 posiadała ona kapitału 39,559 złp., który zwiększył się procentem do 41,367 złp. Komitet najbiedniejszym dłużnikom umorzył wierzytelności w kwocie złp. 2,040 gr. 20. Pozostała więc na rok 1865 summa złp. 39,327 gr. 5, składająca się z 10,000 złp. umieszczonych na hipotece, z 26,848

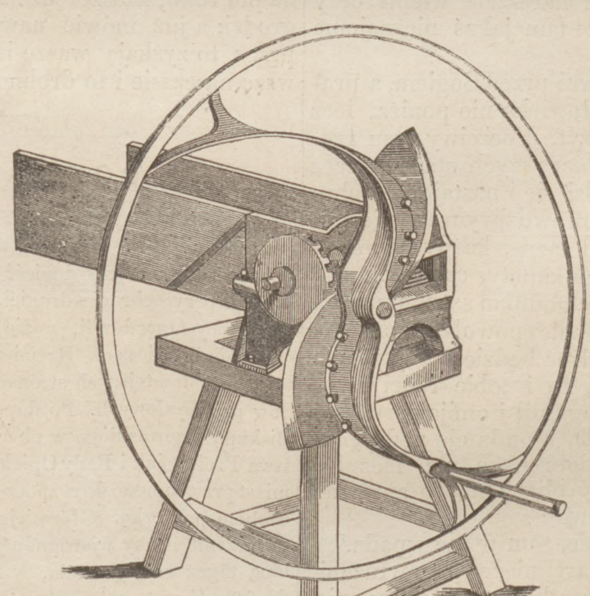
na długach, z 164 złp. w kassie gotowizną i z 2,314 na zaległych procentach i karach. Otóż przykro, że ta summa ostatnia tak znaczna; biorący bowiem pożyczkę, pamiętać powinni, jak święte obowiązki zaciągają, każdy grosz bowiem stracony, jest wydarty innym potrzebującym.

— Dzielimy się prawdziwie radosną nowiną, jaka zapewne czytelnikom sprawi zadowolenie, donosząc o urządzeniu nowego domu dla niezamożnych rzemieślników w Warszawie. Tym razem, dom stanął prywatnemi usiłowaniami właścicieli i znakomitych garbarzy tutejszych pp. Temler i Szwede. Wznosi się on przy Ulicy Gęsiéj, nieopodal fabryki świec stearynowych. Pobudowany dom, jest częścią gmachu późniéj wznieść się mającego, jeżeli pomysł okaże się praktycznym. Mimo to pomieścić się może w nim 40 familji. Poprowadzone korytarze ułatwiają rozdział mieszkań, z których każde składa się: z pokoju, ogrzewanego piecem połączonym z angielską kuchenką dla oszczędności. Pokoiki widne, zdrowe i ciepłe, a taki lokalik opłacać się będzie tygodniowo po złp. 2. Czyż to nie wielkie dobrodziejstwo? Właściciele nieograniczyli się jednak na tem, ale pragnąc lokatorom ułatwić posyłanie dzieci do ochrony, wyznaczyli trzy pokoje na takowy zakład, który albo nowo urządzonym albo z dawniejszego miejsca tu przeniesionym zostanie. Panowie Temler i Szwede, swoim kosztem sprawiają potrzebne sprzęty, a nawet książki do czytelni. Niezapomniano i o rozrywkach. Założony przy posesji ogród, pozwoli używać dzieciom i starszym nawet tak pożądanego w Warszawie świeżego powietrza i przechadzki. Dom ten służyć mogący za wzór, wystawili właściciele przedewszystkiem dla robotników pracujących w ich zakładach garbarskich, chociaż i inni mogą najać mieszkania, bo gdy całe to przedsiewzięcie powiedzie się, o czem ani wątpimy, właściciele zbudują więcéj mieszkań podobnych.

—Donoszą ze Lwowa, iż tamtejsze zjednoczenie czeladzi rzemieślniczéj, pragnąc uczynić krok postępu naprzód, uchwaliło zaprowadzenie w sali zebrań odczytów naukowych. Mianowicie wykładane będą w sposób przystępny i popularny nauki przyrodzone jak: chemja, fizyka, botanika, mineralogja, technologja—rozumie się ze szczególnem zastosowaniem do rzemiosł. Wykłady rozebrali między sobą miejscowi nauczyciele szkół realnych, przychodząc w pomoc tym zacnym usiłowaniom Lwowskiéj czeladzi. Tak widzimy: iż stan rzemieślniczy wszędzie w nauce szuka dla siebie postępu,— wzniesienia i bardzo słusznie, gdyż ta droga najpewniéj doprowadzi do celu. W miarę jakie kto ma środki, niech działa i niech nie ustaje w pracy. Ten prąd postępu w naukach ogarnia wszędzie rzemieślników. W Paryżu, stolicy Francji, bardzo się ku temu zwrócono. Gazety donoszą np. iż członkowie stowarzyszenia Paryzkiego Naukowego, liczącego już trzy tysiące zapisanych—zwiedzali niedawno konserwatorjum sztuk i rzemiosł, gdzie urządzone zostały dla nich wieczory naukowe. Trwać one będą przez całą zimę w tych galerjach, gdzie widzieć można najciekawsze zastosowanie nauk i zdumiewające postępy mechaniki, z któréj człowiek sługę sobie uczynił. Jenerał Morin, prezes tego zakładu, oraz na ten rok dyrektor akademji Nauk, sam oprowadzał Towarzystwo. Niewiadomo co pierwéj było oglądać, tyle rzeczy ciekawych, tyle wynalazków świadczących o potędze rozumu ludzkiego. Zgromadzono wszystkie znane maszyny do szycia, do haftowania batystów i koronek, prawdziwe arcydzieło mechaniki; począwszy od żelazka do prasowania ogrzanego gazem w środku, widzieć tu można wszystkie zastosowania tego gazu, pary i elektryczności. Pantelegraf Casselego i telegraf drukujący p. Hughes, był przedmiotem największego zajęcia. Znaczną część wieczoru, spędzono w galerji maszyn w ruch wprawionych, gdzie była machina parowa, magneto-elektyczna i lampa elektryczna. Równie pożytecznemi są odczyty Lwowskiéj Czeladzi.



Gorzałka nim tak fatalnie zatoczyła, — (str. 30, szp. 2)
(Rysował Kostrzewski—wyciął na drzewie Regulski).



Mała Sieczkarnia, —(str. 31, szp. 1).—(Wyciął na drzewie Bachmiński).

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 13 (25) Stycznia 1865 r.